

Nierzeczywistość, ciąg dalszy [FELIETON]

Żeby uczynić polskość faktycznym stanem równowagi między człowiekiem, Polakiem i światem, Polacy jako naród potrzebują państwa, to jest warunek zupełnie konieczny, ale nie jedyny – pisze Marek A. Cichocki w kolejnym felietonie z cyklu „Polski sposób bycia”.

Obiecałem sobie, że do sprawy równowagi między tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste jeszcze wrócę (Kliknij i przeczytaj poprzedni felieton na ten temat). Wydaje mi się to absolutnie kluczowe, także dzisiaj, dla zrozumienia naszego podziału na Polaków jednych i drugich.

Przypomnę, że dla Brandysa, od którego problem nierzeczywistości pożytyłem, stał się on źródłem niekończących podejrzeń wobec tożsamości zbiorowej Polaków i uzasadnieniem przekonania, że prawdziwa może być tylko jednostka, uzbrojona po nowoczesnemu w prawa oraz jej złożona psychologicznie osobowość. Co ciekawe, chyba tylko raz w życiu naprawdę Brandys zachwiał się poważnie w tym przekonaniu, które pracowicie rozpisywał na różne warianty w swej twórczości, a stało się to w 1979 roku podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny Jana Pawła II.

Warto o tym wspomnieć, obchodzimy właśnie czterdziestolecie polskiej Solidarności, która była wielkim zbiorowym doświadczeniem, tak rzeczywistym, że ulegali mu nawet najbardziej zatwardziali zwolennicy indywidualizmu. Religijny, metafizyczny, wspólnotowy kontekst tamtego doświadczenia sprawiał, że później wielu z nich długo

*Solidarność była wielkim
zbiorowym doświadczeniem.
Tak rzeczywistym, że ulegali
mu nawet najbardziej
zatwardziali zwolennicy
indywidualizmu*

odczuwało z tego
powodu coś w
rodzaju zakłopotania
czy nawet wstydu,
zmytego po latach
mściwą satysfakcją,
że tamte
wspólnotowe
uniesienia okazały
się być tylko tym,

czym naprawdę były – kompletnym złudzeniem, samo-oszustwem, nierzeczywistością. Obserwując zachowania ludzi na ulicach podczas przyjazdu papieża do Warszawy, zachowania całkiem nieoczekiwane i niepasujące do przekonania o tym, jak nierzeczywiste jest polskie życie zbiorowe, zapisuje Brandys w *Miesiącach* następującą uwagę: „Czy nie za pochopnie sądziło się tę masę, widząc w niej bezwład i słabość lub dopatrując się w jej zniewoleniu codzienną wegetacją – braku zasobów duchowych”. Był to ten jeden z nielicznych momentów, kiedy autor *Nierzeczywistości*, gotowy był przyznać, że zbiorowe życie Polaków, ich tożsamość narodowa i wspólnota religijna stanowić mogą prawdziwą, autentyczną rzeczywistość o istotnym duchowym wymiarze. Nie wzdragał się wcale przy tym dodać, że niezrozumienie przez innych tej rzeczywistości nie musi wcale umniejszać jej znaczenia: „Ile mogą z tego zrozumieć intelektualiści na Zachodzie – pisał dalej – ci co organizują demonstracje pederastów i feministek... Ale czy oni muszą nas rozumieć? Nie muszą nas rozumieć, podobnie jak my, nie musimy znać ich problemów i kompleksów”.

Nie muszą? Nie musimy? Nie mogą? Nie możemy? Dlaczego właściwie? Wydaje się, że tak samo jak paląc wszelkie możliwe mosty między tożsamością jednostki i tożsamością grupy, nazywając tę ostatnią

nierzeczywistością, Brandys uznawał również, w tych wyjątkowo rzadkich momentach, takich jak pierwsza pielgrzymka papieża do Polski czy Solidarność, gdy godził się z tym, że grupowa tożsamość Polaków ma jednak rzeczywistą wartość i niesie w sobie jakąś ludzką prawdę, że jest ona beznadziejnie uwięziona w narodowym kodzie i nieprzekładalna, a więc w uniwersalnym sensie pozostaje bez szerszego znaczenia. Jeżeli mówi nam coś ważnego o świecie i człowieku, to mówi tylko do nas i do nikogo innego.

Brandys równowagi między tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste w Polskośći nie odnalazł – myślę, że głównie za sprawą swojego stosunku do tożsamości grupy. Zupełnie inaczej sprawa przedstawia się w przypadku Tymona Terleckiego, którego warto czytać na drugą rękę z Brandysem

Brandys zamknięty był w doświadczeniu PRL-u, ale stosunek do polskiej kultury, przede wszystkim tej XIX-wiecznej, do metafizyki okupacji i wreszcie do nowoczesnej europejskiej cywilizacji powojennego Zachodu pozwalały odnajdywać drogi wyjścia z tego

doświadczenia, uwolnienia się od tkwiących w nim zatrutych „konieczności”. Jednak równowagi między tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste w Polskośći nie odnalazł – myślę, że głównie za sprawą swojego stosunku do tożsamości grupy. Zupełnie inaczej sprawa przedstawia się w przypadku Tymona Terleckiego, którego warto czytać (*Szukanie równowagi*) na drugą rękę z Brandysem. Terlecki z wyboru nie stał się intelektualistą w PRL-u, skutkiem czego skazał się nie tylko

na infamię cenzury w kraju, ale także na los i doświadczenie emigracji po II wojnie światowej. To doświadczenie dawało pewne poczucie osadzenia we wspólnej historii, ponadpokoleniowej więzi, kulturowej solidarności z żyjącymi na emigracji w XIX wieku Polakami. Jednak też to doświadczenie, przez Terleckiego głęboko przeżyte i przemyślane, w sposób chyba jeszcze bardziej brutalny i otwarty niż komunistyczna codzienność PRL-u stawiało pytanie o to, czym jest rzeczywistość i nierzeczywistość polskości. Jest rzeczą godną zastanowienia, dlaczego to właśnie Terlecki udziela w tej kwestii lepszych odpowiedzi.

Człowiek, Polak, świat – jak znaleźć między tymi wymiarami właściwe proporcje, właściwy nam stan równowagi i, czy nie na tym właśnie polega prawdziwy styl zbiorowego życia i sens bycia wolnym? Ramy historycznego czasu za każdym razem stawiają nas wobec odmiennych uwarunkowań w dążeniu do tego samego celu: poszukiwania równowagi. Inne są warunki komunistycznej codzienności PRL-u i powojennej emigracji, inne Polaków w XIX wieku czy w przedrozbiorowej osiemnastowiecznej Rzeczpospolitej, inne mamy dzisiaj w Polsce po 1989 roku, ale cel jest zawsze ten sam: odkrywanie równowagi między tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste, nie dokonywanie wyboru między jednym i drugim, ale poszukiwanie równowagi jako stanem oparcia. Żaden człowiek, ani żadna grupa nie może być bowiem nigdy w pełni, całkiem panem tego co rzeczywiste. „Normalnym” sposobem „nowoczesnego” dochodzenia do takiej równowagi, jej ciągłej weryfikacji, sprawdzania się, jest życie społeczne oraz polityka w państwie, z towarzyszącą im kulturą. Ale to właśnie doświadczenie emigracji, jako historycznego polskiego losu poprzednich dwóch stuleci, najmocniej przypomina nam o tym, że to kultura i związana z nią religia i etyczność były podstawowym dla nas, narodu bez państwa, obszarem weryfikowania, sprawdzania tego, co dla bycia Polakiem jest rzeczywiste. Na tym gruncie wyrastała wielkość

polskiego romantyzmu, stąd jednak również brała się zaciekle jego krytyka ze strony pozytywistów i organiczników, i tutaj należy także szukać odpowiedzi, dlaczego II Rzeczpospolita z taką gwałtownością odrzuciła dawne mesjanistyczne tradycje na rzecz funkcjonalnego realizmu.

Dla przetrwania polskości nie było ważniejszego pytania: jak utrzymać równowagę między tym, co stanowi rzeczywistość grupy i co jest rzeczywistością indywidualną, jak ponownie je skleić razem w określony sposób bycia Polakiem?

Pisząc z pozycji emigranta po 1945 roku Terlecki daje nam doskonały wgląd w tę sprawę. Według niego dla przetrwania polskości nie było ważniejszego pytania: jak w obliczu rozpadu I Rzeczpospolitej,

utruty własnej ojczyzny, a po 1830 w sytuacji wygnania i utraty na pokolenia związku między tym co polityczne, społeczne i indywidualne, a co powtórzy się znów po 1945 roku, utrzymać równowagę między tym, co stanowi rzeczywistość grupy i co jest rzeczywistością indywidualną, jak ponownie je skleić razem w określony sposób bycia Polakiem? Do tego potrzebna była kultura, ale Terlecki wie doskonale, że to jest za mało. Żeby uczynić polskość faktycznym stanem równowagi między człowiekiem, Polakiem i światem, Polacy jako naród potrzebują państwa, to jest warunek zupełnie konieczny, ale nie jedyny – bo Polak, jako człowiek ma także prawo istnieć jako wartość uniwersalna. Czy to jest w ogóle możliwe? Czy takie połączenie występuje? Brandys kategorycznie by zaprzeczył. W swych błyskotliwych esejach o Josephie Conradzie i Andrzeju

Bobkowskim Terlecki pokazuje jednak możliwość pojawienia się wyjątkowej zupełnie postaci polskiej równowagi jako typu afirmatywnego, egzystencjalnego kosmo-Polaka. Fakt, w obu przypadkach jednak jest on wytworem kultury jako sposobu bycia poza własną ojczyzną i państwem, bycia Polakiem na wygnaniu. Ja bym jednak rozszerzył ten zakres możliwości dodając na pewno jeszcze jeden istotny przykład, który swą siłą tak głęboko zastanowił w 1979 roku samego Brandysa w Warszawie, mianowicie Karola Wojtyły – Jana Pawła II jako afirmatywnego kato-kosmo-Polaka. Pozostaje on w XX wieku największym symbolem zuniwersalizowanej polskości.

Marek A. Cichocki

Przeczytaj inne felietony Marka A. Cichockiego z cyklu „Polski sposób bycia”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

